Nr. 29. Sobota dnia 19-go lipca 1913.

# Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

## Na niedzielę dziesiątą po Zielonych Świątkach.

### LEKCYA

z pierwszego listu św. Pawła do Koryntyan, rozdział XII, wiersz 2—11.

Bracia! Wiecie, iż gdy poganami byliście, do niemych bałwanów jako was prowadzono szliście. Przetoż oznajmię wam, iż żaden w duchu Bożym mówiąc, nie mówi przeklęctwa Jezusowi: a żaden wymówić nie może Pan Jezus, tylko w Duchu świętym. Różności darów są: lecz tenże Duch. I są różności spraw, ale tenże Pan. I są różności spraw, ale tenże Bóg, który sprawuje wszystko we wszystkich. A każdemu bywa dane okazanie Ducha ku pożytkowi. Jednemu przez Ducha bywa dana mowa mądrości, a drugiemu mowa umiejętności według tegoż Ducha; inszemu wiara w tymże Duchu, drugiemu łaska uzdrawiania w tymże Duchu. Jednemu czynienie cudów, drugiemu proroctwo: innemu rozeznanie duchów, temu rozmaitość języków, a owemu tłomaczenie mów. A to wszystko sprawuje jeden Duch, udzielając z osobna każdemu jako chce.

### EWANGELIA

u św. Łukasza, rozdział XVIII, wiersz 9—14.

Onego czasu mówił Jezus do niektórych, którzy ufali sami w sobie, jakoby byli sprawiedliwymi, a innymi gardzili, to podobieństwo: Dwoje ludzi wstąpiło do kościoła, aby się modlili; jeden faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz stojąc, tak się sam u siebie modlił: Dziękuję tobie, Boże, żem nie jest jako inni ludzie, drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, jako i ten celnik. Postem trapię się dwakroć w tydzień, dawam dziesięciny ze wszystkiego, co mam. A celnik stojąc z daleka, nie śmiał ani oczu podnieść w niebo; ale się bił w piersi swoje, mówiąc: Boże bądź miłościw mnie grzesznemu! Zaprawdę powiadam wam, że ten odszedł usprawiedliwiony do domu swego więcej, niżli on. Albowiem, ktokolwiek się podwyższa, będzie uniżony; a kto się uniża, będzie podwyższony.

### NAUKA.

Najmilsi! Już z pierwszych słów Ewangelii dzisiejszej poznać można, o co chodziło Panu Jezusowi, kiedy to podobieństwo o faryzeuszu i celniku przytoczył. Mówił je bowiem, jak czytamy „do niektórych, którzy ufali sami w sobie, jakoby byli sprawiedliwi, a inszymi gardzili" (Łuk. XVIII, 9). Mówił je zatem, aby wytknąć dumnym i zarozumiałym faryzeuszom ich pychę, a do zamiłowania pokory wszystkich zachęcić. Bardzo to bowiem szkodliwy występek ta pycha. Jak powiada Job: „od niej początek wzięło wszystko zatracenie"! (Job IV, 17). Dla pychy mnóstwo aniołów strąconych z nieba do piekła. Pycha wypędziła pierwszych naszych rodziców z raju. Ta to nieumiarkowana żądza własnej chwały i dziś wielu na zatracenie prowadzi, bo jak czytamy w księdze Eklezyasza: „pycha jest początkiem każdego grzechu" (Estyk. X, 15). Mało przeto było Zbawicielowi, gdy mówił: „Uczcie się ode Mnie, żem jest cichy i pokornego serca, a znajdziecie odpoczynek duszom waszym" (Mat. XI, 29), nie wystarczało Mu grozić tylko: „Jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie się jako dziatki, nie wnijdziecie do królestwa niebieskiego" (Mat. XIII, 3) On troskliwy o nasze zbawienie, aby nam pokazać, jak zgubną jest pycha, a jak cenną cnotą pokora, stawia nam przed oczy tych dwoje ludzi: nadętego pychą faryzeusza i pokornego celnika, z których pierwszy dla pychy poniżony, a drugi choć grzesznik dla swojej pokory usprawiedliwiony.

Tym dwojgu zatem ludzi i my dziś w celu zebrania nauki zbawiennej bliżej się przypatrzmy.

Powiada Pan Jezus: „Dwoje ludzi wstąpiło do kościoła, aby się modlili, jeden faryzeusz a drugi celnik" (Łuk. XVIII, 10). Zauważmy najprzód, jak się pierwszy zachował. „Faryzeusz", tak czytamy dalej w tej przypowieści, „stojąc, tak się sam u siebie modlił: Boże, dziękuję Tobie, żem nie jest jako inni ludzie, drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, jako i ten celnik. Poszczę dwakroć w tydzień, dawam dziesięciny ze wszystkiego, co mam" (Łuk. XVIII, 11, 12). Oto, jak pycha na wskroś go przeniknęła! Pycha w jego sercu, pycha na ustach, pycha w całem zachowaniu się jego zewnętrznem, która go nawet w kościele nie opuszcza. Razem z celnikiem wszedł on do kościoła, aby się modlić, lecz zaraz od niego się odłącza. Celnika u drzwi kościelnych zostawia a sam wysuwa się naprzód, aby go wszyscy widzieli. Poczyna się modlić, ale i w tej modlitwie nie chwały Bożej, lecz swej własnej szuka. O nic nie prosi, ale tylko dobre uczynki swoje wylicza, zapominając o licznych błędach i grzechach, za które korzyć się powinien i przebaczenia żebrać. Te są bowiem objawy pychy: zbytnie przecenianie samego siebie, przypisywanie wszystkiego, co się posiada, swej własnej pracy, swoim zabiegom i pogarda bliźniego.

Lecz w jakże wielkim błędzie zostaje człowiek pyszny, jak nierozumnie sam siebie oszukuje! Cemże jest bowiem więcej, jak tylko stworzeniem Bożem, które im więcej darów od Boga odebrało, tem też większym jest względem Stwórcy swego dłużnikiem. Nie ma się człowiek z czego wynosić, bo nic nie ma swojego. Życie winien Bogu, wszystkie władze ciała i zdolności duszy od Boga otrzymał, wszystko, co w nim piękne i dobre, to Bogu zawdzięcza tylko. „I któż obmyślając może przydać do wzrostu swego łokieć jeden" (Mat. VI, 27) pyta słusznie Zbawiciel, boć chyba tylko grzechy ma człowiek sam ze siebie, ale te go nie podnoszą bynajmniej, lecz raczej pogardy godnym czynią. A zresztą jakaż jest wartość tego wszystkiego, z czego się ludzie zwykli wynosić? „Marność nad marnościami i wszystko marność"

(Efes. I, 2), tak to prawdziwie król Salomon określił. Czemże jest bowiem np. ta piękność ciała, która pychę naszą podnieca? „Omylna wdzięczność i marna jest piękność" (Przyp. XXXI, 30), tak ją Pismo św. nazywa, bo wystarcza jedna choroba, aby ona znikła. Czemże jest wielkość i potęga światowa? Także cieniem znikomym, po którym ledwo słabe pozostaje wspomnienie. Czem wreszcie nasza nauka i mądrość, która ludzi tak często nadyma? Słabem ona światełkiem tylko w porównaniu z mądrością Bożą, a gdy się nadto rozważy, ile to jeszcze rzeczy ludzie zbadać i pojąć nie mogą, ile jeszcze dla nas prawd zagadką niezrozumiałą i tajemniczą zostaje, to i najmędrszy i najuczeńszy przy całej swojej wiedzy za onym mędrcem starożytnym powtórzyć musi: „To wiem, że nic nie wiem".

I ta zatem rzeczy ziemskich znikomość wymownie nas przekonywa, że pycha to nierozum. A jednak mimo to wszystko, ileż na ziemi pomiędzy nami zarozumiałych pyszałków! Ilu to takich, którzy za coś lepszego się mają dlatego, że z jakiegoś pańskiego, szlacheckiego rodu pochodzą, jak gdyby nie jeden był nasz wspólny początek, nie jeden wspólny Stwórca i Ojciec niebieski. A nietylko tam na pokojach pańskich lubi gościć pycha; znajdziesz ją i pod strzechą wieśniaczą. Z góry spogląda kmieć na komornika, dumny ze swojego majątku. Przechwalają się matki swojemi urodnemi córkami i synami, wynoszą się ludzie ze swoich bydląt, z lepszych urodzajów w polu, ze swej zręczności przy pracy, jak gdyby to wszystko nie darem Bożym, ale ich tylko było wyłączną zasługą. Ten przeklęty grzech pychy wszędzie się wciska pomiędzy ludzi. Pysznią się w domu, wynoszą nad drugich z pobożności w kościele, nawet pijani w karczmie się przechwalają i chełpią z tego, ile to bez zawrotu w głowie wypić potrafią.

A przecież pycha tak jest czemś wstrętnem w oczach Pana Boga, że On najlepszymi nawet uczynkami gardzi, jeżeli ten występek do nich się przymiesza, jak to widzimy i z tej przypowieści. Nie zaprzeczył Pan Jezus faryzeuszowi tego, że pościł i dawał dziesięciny, ale jednak ani nawet nie wejrzał na tę jego pobożność i wrócił mimo wszystkiego nieusprawiedliwiony faryzeusz, bo jak poucza św. Jakób Apostół: „Bóg pysznym się sprzeciwia, a pokornym łaskę dawa" (Jak. IV, 6).

Tej łaski usprawiedliwienia dostąpił celnik. „Stojąc z daleka, nie chciał ani podnieść oczu w niebo, ale bił piersi swoje, mówiąc: Boże bądź miłościw mnie grzesznemu" (Łuk. XVIII, 13). Zapomina on o wszystkiem, co mógł w życiu dobrego uczynić, a na pamięci ma tylko swe grzechy, swą nędzę duchową i swoją niegodność. Nie śmie stanąć przed Bogiem, ani wznieść oczy ku niebu, nie wysuwa się naprzód, nie pragnie, by go widziano, staje w kącie jak winowajca przed sędzią, patrzy w ziemię, serce jego przejmuje żal, oczy skrapiają się łzami a z duszy wyrywa się wołanie: Boże bądź miłościw mnie grzesznemu! Oto taką jest prawdziwa pokora. Pokorny uznaje, że jest niczem i sam ze siebie nic nie ma, stąd uniża się zawsze przed Bogiem, jak stworzenie przed Stwórcą korzyć się przystoi. Nawet ze samych darów Bożych, którymi go Opatrzność hojniej obdarzyła, ma okazyę do tem większej pokory, wiedząc, że wówczas większym jest tylko dłużnikiem. Pokorny nie myśli o sobie wysoko, ani o swoich zaletach lub dobrych uczynkach, nie porównuje się w myśli z drugiemi, aby się nad nich wywyższać a tem bardziej nie mówi o sobie nigdy wyniośle. Owszem lęka się siebie, a ufa tylko Bogu. Tak czynił ten celnik i dlatego pokora jego wzruszyła Serce Boga, bo otrzymał przebaczenie win i znalazł pochwałę w ustach Jezusa Chrystusa, który powiada: „Zstąpił ten usprawiedliwiony więcej do domu swego od niego" (Łuk. XVIII, 14).

Nie dziwmy się przeto, że Święci Pańscy tak bardzo sobie tę cnotę pokory cenili i tak pilnie się w niej ćwiczyli. Czytaj ich żywoty a przekonasz się, że nigdy ludzie dumni nie szukali tak skwapliwie sławy i zaszczytu, jak Święci wzgardy i poniżenia. Gdy ich miała spotkać jakaś pochwała, uciekali stamtąd a biegli tam, gdzie mogli doznać poniżenia. Kiedy doznawali zawstydzenia lub obelg, cieszyli się niewymownie, z upokorzenia. Nie dosyć na tem, Święci sami szukali upokorzeń, a nawet czynili czasem umyślnie rzeczy dziwaczne i niedorzeczne, aby tylko byli w pogardzie. Tak św. Aleksy porzucił dom swój pełen świetności i dostatku, a okrywszy się łachmanami zrobił się dobrowolnie żebrakiem i kilkanaście lat żył z jałmużny. Co więcej, wrócił potem do domu rodzicielskiego, gdzie niepoznany od nikogo mieszkał pod schodami, odbierając liczne zniewagi, aż po jego śmierci wykryła się cała tajemnica. Św. Wincenty à Paulo, aby nim pogardzano, opowiadał chętnie o swojej ubogiej rodzinie i o trzodzie, którą pasał w młodości. W tym samym celu św. Franciszek Serafiсki wyznał publicznie przed ludem swoje grzechy. Im więcej zaś oni się poniżali, tem bardziej ich Pan Bóg wywyższał, według tego co Pan Jezus w dzisiejszej Ewangelii powiedział: „Albowiem ktokolwiek się podwyższa, będzie uniżon, a kto się uniża, będzie podwyższon" (Łuk. XVIII, 14).

Idźże i ty za ich przykładem, a jeżeli ten stopień pokory, do którego oni doszli za życia dla ciebie niedostępnym, to przynajmniej nie przeceniaj nigdy samego siebie. Nie pogardzaj bliźnimi, przyjmij ochotnie upokorzenia jako nieocenioną łaskę, ćwicz się w ten sposób w aktach pokory, abyś przez nią i ludziom i Panu Bogu był miłym i w królestwie pokornych na wywyższenie zasłużył. Amen.

---

## ZAPÓŹNIONY.

Jedzie chłopiec młody,
Pod nim konik wrony,
Czapka z białem piórkiem
I pasik czerwony.

Aż tętni po błoniu,
Tak konia podcina:
„Ach! śpiesz się, mój koniu,
Bo czeka dziewczyna.

Obiecałem w czwartek
Do matczynnej chaty
Dwóch zacnych sąsiadów
Przysłać do niej w swaty.

Lecz się trochę opóźniłem,
Konika sobie czyściłem,
Piórkom do czapki przypinał,
O dziewczynie wciąż wspominał. —

I nadeszła tak sobota!
Jakże tęskni moja złota.
Dalej, koniu wrony,
Biegnij całą siłą.

By serce dziewczyny
Już się pocieszyło.“

Przez pola, zagony,
Przez łąki i gaje
Leci konik wrony,
Przed okienkiem staje.

Wychodzi dziewczyna,
Świeża jak malina,
Gościa mile wita,
O swatów nie pyta.

Bo we czwartek do jej chaty
Od sąsiada przyszły swaty,
I na trzecią już niedzielę
Prosi chłopca na wesele,
By jej zechciał podrużbować
I „chmiela“ *) z nią przetańcować.

Lecz go to nie nęci,
Tańczyć nie ma chęci,
Nic nie odpowiada,
Tylko na koń wsiada.

Dalej, koniu wrony,
Wracaj w swoje strony,
Bo sam sobie szkodzi,
Kto późno przychodzi.

*Justyna-Marya J.*

# ZDALA OD OJCZYZNY.

## OBRAZEK Z ŻYCIA OBIEŻYSASÓW.

Pięknym, dziarskim młodzieńcem był syn chałupnika Cepa, dwadzieścia lat liczący Michał. Wysoki, barczysty, z płowym jak dojrzały kłos pszenicy włosem i niebieskimi oczami, w których się malowała wesołość życia, szczerość i prostota. Prócz tego odznaczał się uprzejmością dla wszystkich i dzięki swej miłej, przystojnej powierzchowności i zalet charakteru, był ulubieńcem całej wioski, a najchętniej spoczywały na nim oczy dziewcząt, z których każda chętnie poświęciłaby dla niego swój ślubny wianek.

Michał mieszkał wraz z rodzicami w ubogiej chacie, której ściany zbudowane z potężnych okrąglaków, poczerniałe od starości, odbijały się w falach Dunajca, pędzącego spienionemi wodami do swej kochanki Wisły. Nad budowlą zwieszała się stara słómiana strzecha, po krajach potargana od zimowych wichrów i śnieżnych zawiei. W koło chatki-staruszki ciągnął się ogródek okolony płotem, w nim stały liczne drzewa owocowe, nad któremi sterczała żerdź studni żórowianej. Małe okienka upiększone były kwiatami, rosnącemi w glinianych donicach, ustawionych w dokładnym ordynku od największych do najmniejszych niby żołnierze w paradzie. Nad brzegiem, spadającym stromo ku rzece, stał dąb olbrzymi, dźwigający lata całego wieku! Ogromne swoje konary roztaczał nad chatką jakby dla opieki, a zawieszony na nim obraz świętego Izydora skłaniał wszystkich do pobożnego odkrycia głowy.

W tej zaciszy wiejskiej prowadził Michał życie wesołe i pracowite. A jak Michał potrafił i lubił pracować! Kiedy łupał pnie na podwórzu, to stare chałupsko trzęsło się w posadach, z omszałej strzechy sypały się wiory, a rębacz nie zważając na to, porywał coraz nowe kłody kręcąc nimi w powietrzu lekko, niby mieszczuch kłóską na widelcu. Co chwilę padały w lewo i prawo rozłupane drzewa polowy aż powietrze świszczało do koła. Najzgrabniej uwijał się Michał przy pracy żniwnej. Kiedy wiązał snopy na polu, to jeszcze raz prędzej od drugich, powrósła pękały, a nakładaczki nadążyć nie mógły.

Grał także cudnie na fujarce. Gdy w letni wieczór usiadł pod dębem to z swojego prostego instrumentu wywodził przecudne melodye, od których ludziskom serca w piersiach skakały, muzyczne tony rozlegały się szeroko dokoła domków sąsiednich aż ginęły na obszernych polanach, ciągnących się na dalekim widnokręgu.

W gronie swoich rówieśników przodował wszystkim, zwłaszcza przy biesiadzie w wiejskiej gospodzie. Wypiwszy miarkę piwa, swoim zwinnym ciałem wyprawiał najdziwniejsze skoki i karkołomne sztuczki i mógł się prawie równać z komedyantami, którzy od czasu do czasu z dźwiękiem piszczałek i warczeniem bębna przeciągali przez wioski, by w niedalekim miasteczku urządzić igrzyska i zabawy. Miejsce przed gospodą bywało często świadkiem czynów, gdzie się objawiała siła jego herkulesowych ramion. Raz wiózł chłop na wozie nowe żarna i stanął przed gospodą. Kiedy Michał ujrzał koliste kamienie, włożył w otwory swoje potężne pięści i śmiejąc się i wywijając nimi w powietrzu, naśladował skrzydła wiatraka starego młynarza Szymona.

W niedzielę i święta dzwonił zawsze na nabożeństwo, bo grabarz wiejski, siwy jak gołąb staruszek z trudem mógł rozhuśtać dzwonów kolosy, mając tylko chłopaków szkolnych do pomocy. To się często zdarzało, że dzwony uderzając w jedną tylko stronę, nie grały tak piękną, harmonijną muzyką, jak kiedy silna i wprawna ręka uchwyciła liny. To wszystko rozważał Michał i odtąd każdą niedzielę i święto poszedł do dzwonicy, chwycił za liny dwóch największych dzwonów i szarpał z taką mocą, że powrozy trzeszczały, dzwony kolebały się w swych łożyskach z takim rozmachem i grzmiały tak silnie, że polęknione kawki z trwogą wybiegały z wieżycy siadając na gałęziach starych lip, na ramionach żelaznego krzyża, który wsadzony w złotą kulę, stał na szczycie kościelnej wieży. Tak to życie Michała płynęło swobodnie i wesoło jak te fale ukochanego Dunajca. Łupał pnie, kosił siano i zboże lub orał ziemię lśniącym pługiem.

Zbliżała się wiosna. Śniegi topniały na polach, wezbrane wody rzeki rwały w stronę Wisły, cała przyroda budziła się do nowego życia. Dychanie ciepłych wiatrów oznajmowało koniec srogiej zimy, pojawiły się nowe trawy na łąkach i polach. W jedną z pierwszych niedziel marcowych zjawił się w wiosce jakiś obcy półpanek w czarnem ubraniu, dźwigając pod pachą zwój papierów, owiniętych w czarną, lśniącą skórkę. Wyglądał nadzwyczaj dobrze, bo twarz miał rumianą i okrągłą. U kamizelki zwieszał się ciężki złoty łańcuch, na palcach świeciły się pierścienie.

Był czas popołudniowy, niedzielny. Przed chatami na progach siedziały kobiety i dziewczęta, rozmawiając wesoło i ciesząc się z ciepłej wiosennej przyrody. Starsi gospodarze i chłopacy idą do gospody, pierwsi, by przy kieliszku pogawędzić o wiosennych robotach i innych sprawach gospodarskich, lub też o przyszłym jarmarku. Drudzy chcieli sobie sprawić piękną rozrywkę niedzielną, więc posuwają się w stronę karczmy w gromadkach z muzycznemi instrumentami, a Michał dźwiga nowuteńką harmonikę, okutą w polerowane blachy, o które słońce odbija się z takim blaskiem, że się zda, jakoby Michał drugie słońce pod pachą nosił.

---

*) Piosnka, przy oczepinach śpiewana.

W gospodzie zakipiało życie huczne i wesołe. Szklannice dzwoniły, a od stołów grającej młodzieży grzmiały krakowiaki, mazury i obertasy z taką siłą, że stare drewniane karczmisko zdało się chwiać w swych posadach.

W tem gronie zjawił się obcy półpanek i pozdrowił starych i młodych, lecz mówił z obcym akcentem. Nie trwało długo, a zainteresował wszystkich opowiadaniem o rzeczach ciekawych, jakich nie zawsze było można słyszeć w gospodzie rudego Szmula. Dobry był, bo na stoły starych postawił pięć kwart „anyżówki" i drugie pięć między młodych biesiadników. To też niedługo zaczęło w głowach się dymić, gwar i śmiechy rozlegały się dokoła. Michał rwał z taką mocą za harmonikę, że o mało miechy nie popękały. Wnet strugi światła zachodzącego słońca łamały się przez otwarte okna w kałużach wódki, rozlanych gęsto po stołach.

Tej chwili oczekiwał obcy. Zaczął opowiadać o lichych czasach, o marnych miejscowych zarobkach i o tem wszystkiem, co trapi biednego oracza. Czadną parą zakowane mózgi nie mogły odmówić słuszności i obcy pozyskał serca wszystkich. Ten zasię rozłożył swoje papiery na stole i z bajeczną wprawnością opowiadał o wysokich zarobkach, które każdy, kto ma ochotę, zdobyć może, jeśli pójdzie pracować do bogatych niemieckich panów i złoży swój podpis na liście. Chłopacy zapisali się prawie wszyscy, między innemi także Michał Cep. Z ojcami dobito jeszcze sprawę zapisania się dziewcząt i tego wieczora wielu w wiosce spać się pokładło z widokiem pełnych kieszeni złota za kilka miesięcy. A podczas gdy ci biedni pieścili się nadzieją obfitości darów fortuny, agent pruski przy butelce dobrego wina liczył dywidendy....

Minęły dwa tygodnie. W poniedziałek przy pierwszem pianiu kogutów, gromadzili się przed gospodą obieżysasi, by wspólnie pójść na dworzec, gdzie połączeni być mieli z innemi gromadami. Przed każdym leżał tłomoczek niezbędnych rzeczy, zawierający bieliznę, ubiór świąteczny, książkę do nabożeństwa lub różaniec. Pozostali odprowadzili odchodzących aż do figury przy drodze.

I szła ta gromadka ludzi, silnych i zdrowych, by pracować daleko, w okolicy gdzie inna wiara, inny język i obyczaje. Tam daleko od ojczystego kraju przedzieleni wielu rzekami będą wylewać swój pot na obcą ziemię, będą napełniać obce gumna i komory. Opuszczają rodzinną ziemię w sam czas, kiedy będzie kwiść tysiącami kwiatów, falować morzami pól, ozłoconych pszenicą, posrebrzanych żytem.

Zwolna przybyli na dworzec, gdzie już ruch panował niezwykły. Wszędzie było pełno ludzi mających te same cele, przyszłość i nadzieję. Agent z wprawnością pruskiego podoficera formował te masy, liczył, — wszystko było w porządku. Czas odjazdu był bliski. Niedługo a dał się słyszeć głuchy huk, i pociąg z szumem zajechał na dworzec. Za kilka minut pochłonął pasażerów niby smok swoją ofiarę, stęknął raz i drugi, świsnął białą parą i pomknął dalej, unosząc w świat daleki ludzi w nim zamkniętych.

Michał pracował dzielnie przez całe lato. Dwór, gdzie służył za parobka, leżał niedaleko miasta w prowincyi saskiej, które się rysowało na zachodnim niebie trzema wieżycami i niezmierną ilością fabrycznych kominów, z których bez przerwy ciekły ogromne kłęby czarnego dymu. Wieczorami nad miastem niebo świeciło krwawemi łunami, jak gdyby tam wieczne szalały pożary.

We wrześniu w dzień Narodzenia Matki Boskiej nie pracowali obieżysasi i Michał postanowił sobie obejrzeć tajemnicze miasto, które i dziś dymiło niby setki rozpalonych pochodni. Wieczór zapadał, lecz praca w hucie nie ustawała. Michał wsparty o płot, widział postacie hutników krwawym blaskiem oświeconych płomieniami buchającemi z czarnych pieców, jakby z czeluści piekielnych. Po olbrzymiej hali biegały w powietrzu czerwone, ogromne bloki żelaza, wiszące na potężnych łańcuchach. Co chwilę położono ognistą bryłę na lśniący grzbiet kowadła a wielki młot poruszany niewidzialną siłą walił z góry tak silnie, że po blokach spływały ogniste deszcze. Na drugiej stronie stały olbrzymie wałkownice, wirujące żelaznemi wałkami w przeciwnym kierunku, co chwilę porywające takie same bryły żelaza, ciekące rozpalonemi żużlami, gniecąc je z taką mocą, że na drugiej stronie wychodziły w postaciach płaskich, niby deski do łażów. W całej hali słyszeć było można przenikliwe świsty pary, jęki obrabianego, łamanego żelaza. W takt tej potwornej muzyki tańczyły snopy ognistych iskier, a ziemia drżała dokoła. Michał, który dotąd tylko patrzał jak z porami roku zieleniły lub bieliły się pola, zdumiony spoglądał, jak żelazo przybierało rozmaite formy i kształty, i uczuł uwielbienie dla pracy tak potężnej, wobec której machanie kosą lub łupanie pni uważał za igraszkę dziecinną. Po skończonym kontrakcie nie wrócił z innemi do domu i został hutnikiem.

Przez całą zimę trudził się Michał w hucie, lecz na darmo szukał tego szczęścia, które odczuwał w rodzinnej wiosce. W chwilach wolnych silił się przypomnieć sobie ojczyste strony, grając na ulubionej fujarce lecz poznał, że hutnicza praca zesztywniała palce i niedługo, a flet stał spokojnie w rogu okna, pokryty kurzem. Uzbierał nieco grosza i dziś czyni ostatnią szychtę, pojutrze wyjeżdżać myśli do ojczyzny.

* * *

W szpitalu protestanckich dyakonisek leży śmiertelnie ranny Michał Cep. Żelazna, rozpalona sztaba głęboko utkwiła mu w piersi. Już walczy ze śmiercią i zbielałemi wargami szepce ledwo dosłyszalne „Zdrowaś Marya". Napróżno się sili omdlałą ręką zrobić ostatni znak krzyża. Jeszcze jedno i drugie bolesne westchnienie, a lampa jego życia zgasła.

Obca ziemia przysuła mu oczy i spoczywa samotny, opuszczony na protestanckim cmentarzu. Dokoła niego bogate, ciężkie grobowce tłoczą prochy umarłych. Na jego grobie żadna ręka nie sieje róż, ni kwiatów, ni żadne oko nie płacze.

A tam daleko kędy Dunajec toczy swoje fale, dwa kochające serca napróżno wyglądają powrotu syna....

*Gr.*

---

Dzień jutrzejszy ma zawsze co poprawić.

Ten rzeczy trudnych nie dostąpi, kto wielkość ich zrazu nazbyt uważa; najprędszy dokazania sposób, co masz robić, prędko zaczynać, kęs do kęsa dodawać. Woda wielką górę obali, gdy często i zwolna podmywa.

Oszczędzaj swoje, żebyś cudzego nie pragnął.

Prędzej tych słuchamy, których kochamy, niż których się bojemy.